

**ELIZA  
ORZESZKOWA**

CO MÓWIŁ  
STARY KLON?

Eliza Orzeszkowa  
**Co mówił stary klon?**

«Public Domain»

## **Orzeszkowa E.**

Co mówił stary klon? / E. Orzeszkowa — «Public Domain»,

Oniryczna rozmowa z drzewem, które dzieli się swoim życiowym doświadczeniem ze zgorzkniałym pisarzem. Życie ptaków i owadów kontrastuje z pracą ludzką w pobliskiej fabryce. Ta abstrakcyjna, poetycka rozmowa ze starym klonem prowadzona jest w stanie głębokiej medytacji, więc trudno nawet udawać, że chodzi o coś innego niż dialog wewnętrzny. Stawką dialogu jest odpowiedź na pytanie „jak żyć”, ale jak wiemy, na to pytanie nie ma jednej dobrej odpowiedzi. Eliza Orzeszkowa jest jedną z najważniejszych pisarek polskich epoki pozytywizmu. Jej utwory cechuje ogromne wycucie problemów społecznych - w mowie pogrzebowej Józef Kotarbiński nazwał ją wręcz „czującym sercem epoki”.

© Orzeszkowa E.

© Public Domain

## Eliza Orzeszkowa

### Co mówił stary klon?

Czy ludzie tylko posiadają mowę? Gdzie tam! Wszystko, co żyje na niebie i ziemi, mówi; nie tylko co żyje, bo nawet kamień u brzegu rzeki, albo kurzawa, unosząca się nad drogą, posiadają wyrazy, w które wsłuchiwać się warto. Trzeba wprawdzie mieć uszy tak urządzone aby tę gadatliwość wszechrzeczy słyszeć mogły, ale bywają takie, i ja sam...

Wyznać muszę, że był niedawno moment, w którym ogromnie zleniwiały mi ręce, i głowa, i serce.

Nie chciało mi się nic robić, ani myśleć, ani czuć; najlepiej wolałbym usiąść sobie w jakim najdzikszym, najgłuchszym kącie świata, zamknąć oczy, skrzyżować ramiona i, jak fakir, wpatrując się w nieskończoność, powtarzać: Om! Om! Om! – aż do zapomnienia o rozpaczliwej skończoności wszystkiego, co jest na ziemi. Tacy fakirzy, którzy nieruchomo na jednym miejscu siedzą, aż im w uszach szerszenie gniazda swe pozakładają, daleko więcej wówczas trafiali mnie do przekonania, aniżeli tacy, którzy, wskutek niesłychanego naprężenia sił cielesnych i duchowych, przez parę godzin wyprowadzają z ziarna całą roślinę fasoli z łodygą, liśćmi i kwiatem.

Ciekawym, po co to czynią? Czy fasolą swoją tak świat nakarmią, że ród głodnych na nim zginie? »Chwała człowiekowi, jako roślina polna przemija«. »Snem cienia jest życie człowieka, a człowiek cieniem, który śni«. »Dźwięk jedyny, co nie kłamie, w wszystkich dźwięków świata gamie, to cmentarny spiz«!

I tam dalej, laments bez końca: hebrajskie, greckie, łacińskie, różne inne przeciekały mi przez głowę, wypłukując z mózgu światło i siłę.

Nie zawsze przecież działo się tak ze mną i bez powodu się nie stało. Był powód; nawet w liczbie mnogiej: były powody, ale jakie? Mniejsza o to, bo sami mniej więcej znacie te rozmaite maszyny, które rzeźbią, gną, miela, żłobią, aż ze stali uczynią gąbkę, a z brylantu węgiel.

Faktem jest, że osowiały, leniwy, niczego już oprócz martwego spokoju nie pragnący, a jego nawet pragnąć niezdolny, tylko siłą rozpędu zanurzający się weń coraz głębiej, siedziałem od kilku tygodni u okna, w głębokim, wygodnym fotelu, bo jedną z potrzeb przez ówczesne usposobienie wytwarzanych było mi to, aby siedzieć zawsze w sposób wygodny. Ciało, zarówno jak dusza, straciło możliwość utrzymywania się w postawie wyprostowanej. Od kilku godzin siedziałem na tem jednym miejscu, zaledwie spostrzegając smugę słonecznego światła, która zrazu błyskała po mojej odzieży i książce, trzymanej w ręku, potem przygasiała, skracała się, aż wykrzesawszy w szybie wielką iskrę ognistą – zniknęła.

Później nieco, za oknem, za kurtyną drzew, do połowy rozebranych z liścia, pięknie musiało zachodzić słońce, królewskimi barwami jesiennego nieba otoczone; lecz ani głową nie poruszyłem, aby to zobaczyć, i wtedy zaledwie doświadczyłem uczucia pewnej błogości, gdy pokój zapełniać się począł zmrokiem, tym haszyszem dla oczu, które pragną już tylko widzieć to, czego rzeczywistość dla nich nie ma. Książka zsunęła mi się z kolan i z cichym szelestem rozpostarła się na ziemi. Dom, chociaż nie bezludny, ale milczeniem napełniony, stał, jak czara szampana, która, po ulotnieniu się musującego gazu, pełna jest jeszcze, lecz uciszona – i zwolna, stopniowo, ogarniał go wieczór jesienny, może po swojemu piękny, ale mnie nic nie było do jego piękności. Miasto, wśród którego stał, w oddali wrzało po swojemu, ale mnie nic nie było do jego wrzenia.

W kącie pokoju miałem zegar, który teraz szarą krepą owijał zmrok w kątach najgęstszy i którego miarowe, monotonne tętnienie wydało mi się oddechem otaczającej mnie ciszy. Zacząłem razem z ciszą oddychać, czyli powtarzać w myśli zgłoski najwyraźniej w tętnieniu zegara słyszane:

Tik, tak! Tik, tak!

Poczem, sam nie wiedząc kiedy i jakim sposobem, może dlatego, że niedawno o pustelnikach indyjskich myślałem, albo że mózg mój nie miał ochoty wyrzucić z siebie dwu liter, które w nim ugrzęzły, zacząłem ustawicznie a nieprzerwanie powtarzać:

– Om! Om! Om!

Plecy moje kurczyły się, garbiły i coraz głębsze wyłobienie urabiały w miękkiej poręczy fotelu, ręce wzdłuż kolan zwisły, powieki na źrenice opadły, nogi daleko naprzód wysunęły się na kobierzec, a w głowie, która brodą aż środka deki piersiowej dotykała, myśl obumarła powtarzała ciągle:

Om! Om! Om!

I tego tylko brakowało, aby jaki szerszeń z kroplą miodu na skrzydle w uchu mi zasiadł, albo jaki pajak zaczął sieć swoją zaciągać w ustach, które z kolei rozwierały się szeroko westchnieniami i poziewaniem.

Wtem:

– Puk, puk, puk!

Coś mi nad samem uchem zastukało w szybę. Niech sobie stuka! Co mi do tego!

Po raz drugi:

– Puk, puk, puk!

I zarazem coś szepce:

– Odwróć głowę, leniuchu, i spójrz na mnie. Czy nie czujesz, że co najmniej tyleż nudzisz się, ile smucisz. Pogawędźmy z sobą trochę; może cię to rozerwie.

Zanim zdołałem się odwrócić, musiałem głowę podnieść, raczej podźwignąć. Podźwignąłem. *Il n'y a que le premier pas qui coûte*. Spojrzałem na tę szybę, do której coś pukało...

Nikogo, nic. Tylko tuż pod oknem stoi wielki, stary klon i szeroko rozpościera silne gałęzie, całe w liściach żółtych, dużych, dłoniastych i głęboko wyębionych. Właśnie jeden z tych liści najdłuższym z zębów swoich o szybę mi uderza, a inne dokoła niego rozpościerają się, jak dłonie na coś wskazujące, albo w górę podlatują, albo, zbliżając się ku sobie, z cicha szepcą.

Niechby tam sobie szeptały, ile chciały, ani myślałbym ich słuchać, ale ten jeden, wciąż w szybę dzwoniący, niecierpliwie mnie zaczyna.

– Czego chcesz?

Jakby na zaklęcie, na to pytanie klon poruszył wszystkimi naraz gałęzmi, które rozstąpiły się na wszystkie strony. No i cóż? Cudne niebo wieczorne, to prawda; u skraju, strugą gasnącego żaru z ziemią rozdzielone, powyżej przelewające fioletry ametystowe z bladą zielenią, na którą usiadły już drobnutki gwiazdy. Niegdyś widok ten wprawiałby mnie w ekstazę, ale teraz... po co ukazujesz mi go, stary klonie?

Nie odpowiedział nic, tylko u samego szczytu, jak dwa ramiona, szeroko rozpostarł dwie gałęzie, pomiędzy którymi zawisł obłok, podobny do skrzydła zrumienionego dogasającym ogniem. Prawie w mgnieniu oka skrzydło to przelało się na wachlarz rozpostarty, potem na pochodnię, wyrzucającą z płomienia kłęb dymu, a wkrótce, połączywszy się z parą nadbiegłych powietrzem puchów różowych, utworzyło profil dziewiczy ze złotym warkoczem, który wnet zwinął się ku górze i w sposób taki osłonił profil, że ukrył się on w przyłbicy rycerskiej, powiewającej srebrnym pióropuszem.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.